Nr. 11 Rok 5 Kraków, dnia 12 marca 1944 Cena 40 gr.

Ilustrowany

…IER POLSKI



LABORANTKA

DO NASZEGO REPORTAŻU NA OSTATNIEJ STRONIE

LOTNICY N



Na prawo:
Z wysokości 2000 m nad poziomem morza, a więc z krainy wiecznych śniegów i lodów odbywa się start do emocjonującego zjazdu w dolinę.



Powyżej:

Po długich tygodniach ciężkiej służby frontowej, otrzymała obsada wielkiego hydroplanu niemieckiego specjalny urlop wypoczynkowy, dla nabrania nowych sił. Pod przewodnictwem swego dowódcy-pilota udali się lotnicy na narty w Alpy. Kolejka linowa wyciągnęła ich na wysokość 1800 m. w góry, i teraz pieszo odbywają ostatni kawałek drogi, dzielący ich od schroniska. Z muzyką, wśród wesołego nastroju idą lotnicy, nie czując zmęczenia, pod górę.

Poniżej:

Po każdym zjeździe, specjalny wyciąg transportuje narciarzy pod górę. Jazda w górę nie jest jednak tak prostą jakby się zdawało, gdyż należy przy tym utrzymać samemu równowagę.





Powyżej:
Wiązania muszą być znakomicie dostosowane do butów, gdyż poczucie pewności w nogach jest nieodzownym warunkiem dobrej jazdy na nartach. Początkujący mają jeszcze trudności z zakładaniem nart, ale doświadczeni koledzy służą im chętnie radą i pomocą.

Zjazd „szusem" w dolinę w trudnym, falistym i pełnym wybojów terenie.





NARTACH





Fot. SS.-PK. Apfel

Powyżej:
By dojść do ponownej wprawy, przechodzą lotnicy kurs narciarski, w którym gruntownie zaznajamiają się z różnymi skrętami i skokami.

Na prawo:
Trener tłumaczy lotnikom każdy poszczególny ruch. Z uwagą słuchają uczniowie wskazówek nauczyciela, lecz każdy z niecierpliwością oczekuje na moment, kiedy będzie mógł je sam wypróbować praktycznie.

Poniżej:
Pierwszy zjazd. Niejeden narciarz weźmie przy tej okazji pierwszy „chrzest śnieżny", co jednak wcale nie psuje humorów.





Poniżej:
Wesoła wieczorynka w schronisku kończy mile spędzony dzień wśród śniegu i słońca.





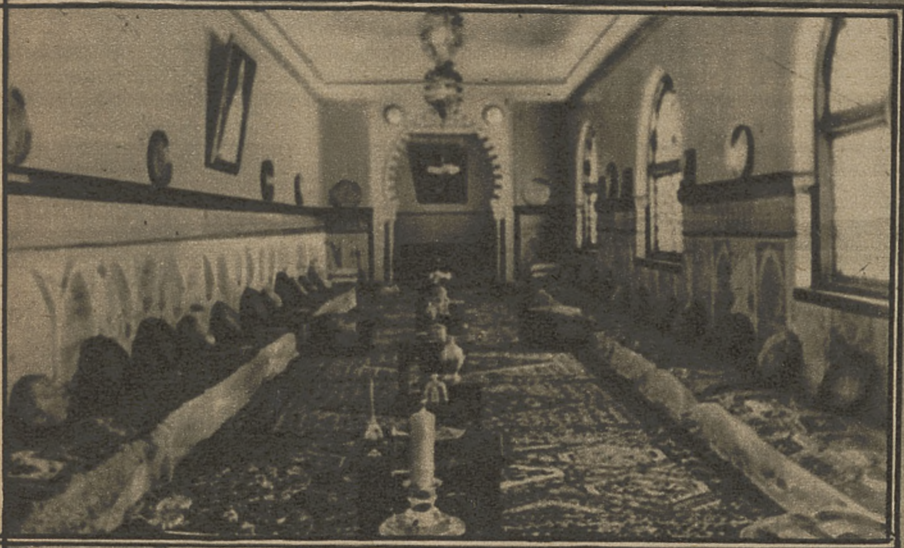
Na lewo:
Po odbyciu pierwszej lekcji jazdy na nartach miło jest odpocząć na śniegu w ciepłych promieniach słońca; przy dźwięku skocznych lub rzewnych melodii wygrywanych na harmonii.



Obserwując rozliczne przejawy barwnej i tak bardzo rozmaitej w wielu dziedzinach sztuki marokańskiej, mimowolnie zapytujemy zdumieni, skąd to kolosalne bogactwo form, przewspaniała ornamentyka, arcyciekawe cieniowanie szczegółów, rozmach i dynamika twórcza — obojętne, w jakim dziale artyzmu uwidoczniające się. By na to zagadnienie odpowiedzieć sobie, musimy przede wszystkim jasno zdać sobie sprawę z jednej rzeczy: że sztuka marokańska jako taka jest sztuką islamu, wielkiego kultu ludzkości, liczącego obecnie około 235.000.000 wyznawców rozsianych po całym świecie, — sztuką bardzo starą, o najszczytniejszych tradycjach, rozwiniętą na podłożu dziejowych doświadczeń i triumfów, stajami których kroczyły liczne kultury, różne narody . . . Warto, bodaj pobieżnie, by lepiej pojąć wielostronną różnorakość sztuki owej, spojrzeć na drogę islamu, idącego przez świat od roku 637, gdy wydostawszy się poza granice Arabii, wraz ze zdobytą Babilonią otwiera sobie perspektywy dalszych sukcesów. Fantazyjne twory Południa łączą się z duchem Wschodu i na tej kanwie wykwitają znów nowe pomysły artystycznych dążności i upodobań. W roku 640 pada Syria, w r. 643 znaczy islam swe ślady w Egipcie. Znowu prastara kultura Faraonów tworzy odmienne wzory w zespoleniu się z nalotem Azji. Sztuka islamu sięga szczytów doskonałości na wszelakich polach, wszczepiając się mocno w grunt afrykański, który już po roku 643 aż po Trypolis hołduje islamowi jedynie. Nadchodzą dzieje roku 650, kiedy to islam wywiesza swe sztandary w Persji.

Na lewo:

MAŁY MISTRZ JUBILERSKO-CYZELERSKI
Rylcem w złocie i srebrze pracuje przyszła sława jubilerska marokańskiej ziemi.



Na lewo:
WYTWORNE ARABSKIE WNĘTRZE MIESZKALNE
Pracą uczniów i rzemieślników licznych gałęzi sztuki marokańskiej powstał ten noszący wybitne cechy arabskości salon, odznaczający się motywami dekoracyjno-utylitarnymi Wschodu obok nowoczesnego komfortu, prawdziwie luksusowego.



Powyżej:

A POŚRÓD UCZNIÓW RDZENNIE MUZUŁMAŃSKICH

Ot, tak wygląda dziś jeszcze „izba szkolna" konserwatywnego muzułmaństwa. Plecione maty ze słomy lub trzciny, nagie ściany i wykładowca — uczący też jednakowoż wyrobu różnych ładnych rzeczy swych młodocianych, smagłoskórych pupilów.



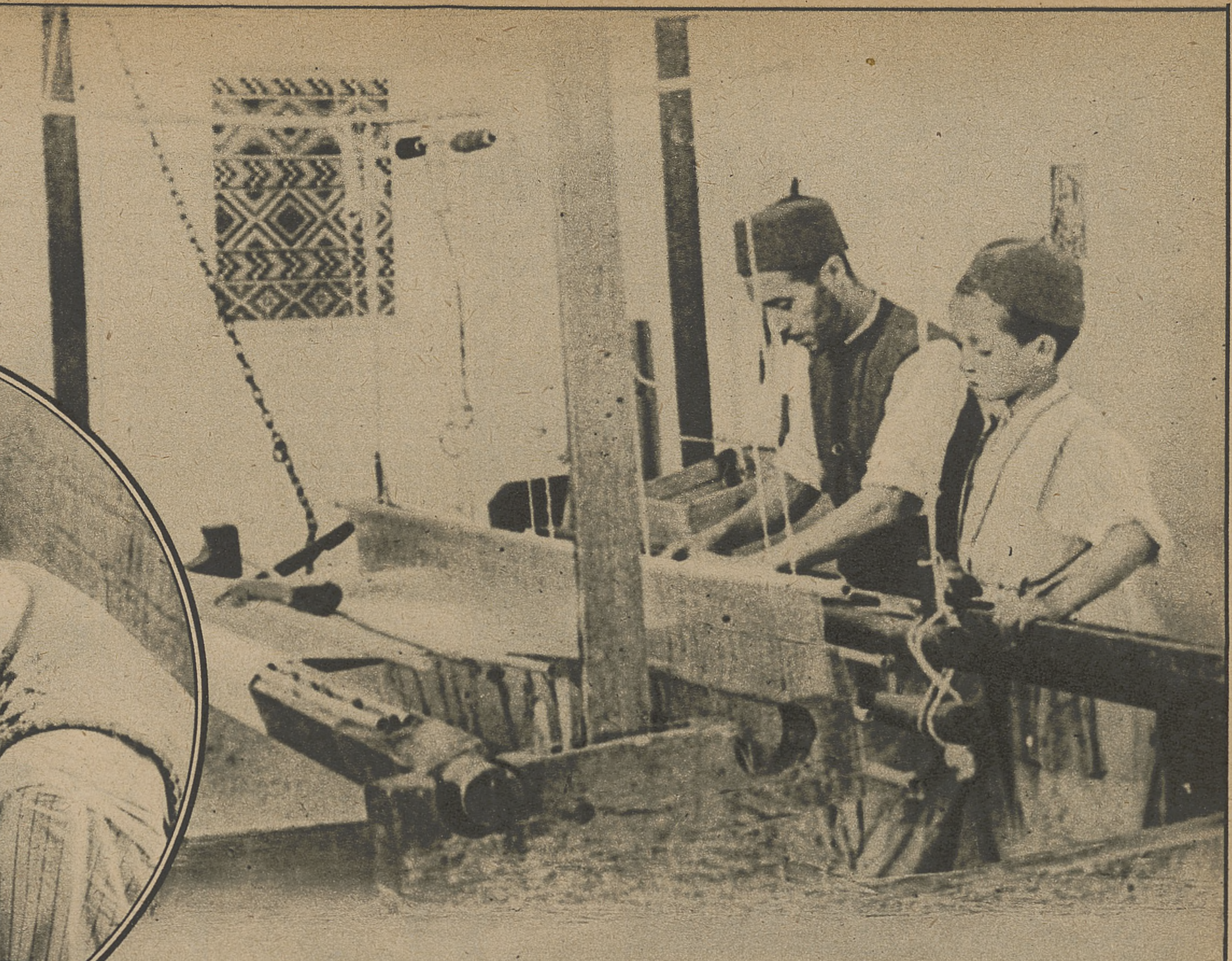
MAROKAŃSKA

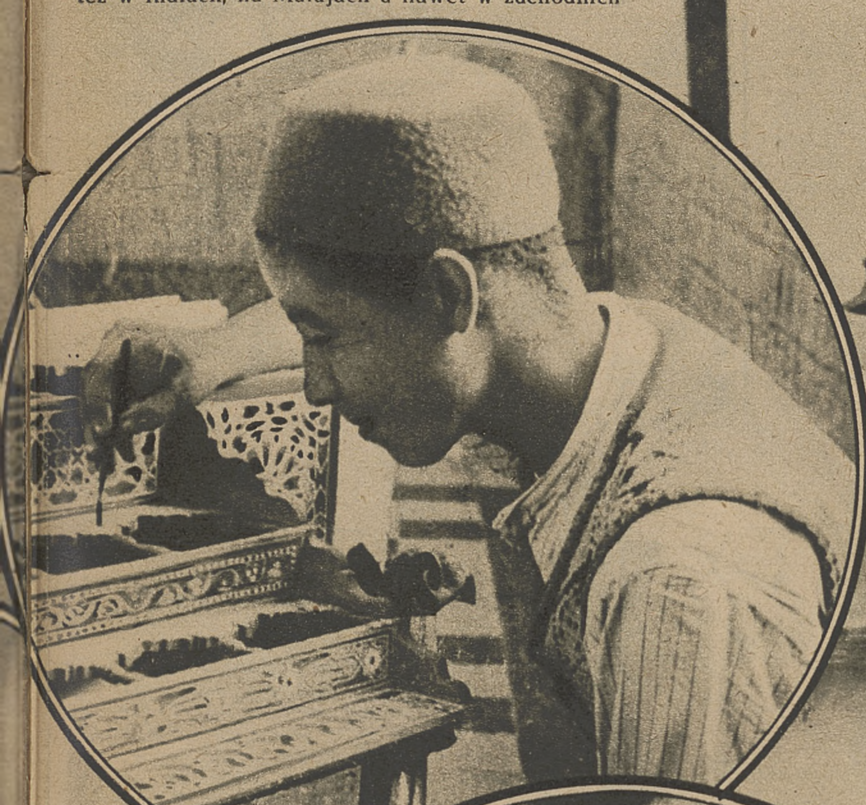
Na lewo:

W PRACOWNI MOZAIKARSTWA DRZEWNEGO

Deseń na stół arabski olbrzymich rozmiarów czy tablicę potem wpuszczaną w ścianę wnętrza mieszkalnego, wymaga cierpliwej bardzo pracy.

Rozwój sztuki islamu jakby nieco zatrzymuje się, ale nie na długo. Doskonalą się i urabiają formy, by z nowymi zdobyczami w Afryce północno-zachodniej i na półwyspie Iberyjskim w wieku VIII znowu zadokumentować dalszy etap rozrostu możliwości koncepcyjnych w dziedzinie zwłaszcza architektury i plastyki. Wiek XI rzuca pod stopy islamu Azję Mniejszą, w wieku zaś XIII kiełkuje islam na Bałkanach. Zrozumiemy dokładniej jeszcze szerokie horyzonty sztuki islamu, gdy dowiemy się, że w Azji wpływom islamu uległy całkowicie prócz wymienionej Persji także Turcja, Afganistan, Irak, Turkiestan, mocno zakorzenił się mahometanizm też w Indiach, na Malajach a nawet w zachodnich Chinach. Wracając do Maroka stwierdzamy, że sztuka islamu panuje tutaj po Egipt, w najnowszych swych przejawach, wyciskając piętno na artystycznej twórczości mnogich talentów. Gdy zreasumować wszystkie te dane — nie trudno dopatrzeć się już chyba związku między oryginalnością a różnorodnością dekoratywno-stylową, reprezentowaną tak bogato w warianturze motywo-ekspresyjnej sztuki marokańskiej. Islam wchłonął bowiem w siebie polot i czar sztuki starochińskiej, poznał tajnie symboliki indyjskiej, przejął dziedzictwo sztuki z nad brzegów Nilu... Dlatego to właśnie, w przeciwstawieniu do nacjonalistycznych cech tych trzech wielkich obszarów kultury ludzkiej, nosi na sobie sztuka islamu piętno stopienia się w sobie w nowe formy owych wszystkich dawnych prawzorów, pchniętych na tory odmiennej już twórczości artystycznej epoką wędrówek ludów i ostateczną łącznością tras transazjatyckich z szlakami indoarabskimi. Ten tedy, by tak rzec, międzynarodowy, nie dając mu nazwy chaotycznego, charakter sztuki maroko-islamskiej, może być należycie ocenionym jedynie tylko z punktu widzenia filologiczno-historycznego, znaczenie zaś jego postawione na należytym miejscu li tylko w drodze analizy porównawczej na terenie sztuki w ogóle. Rzecz jasna, na specyficzny charakter pewnych odłamów sztuki marokańskiej złożył się też, jak zresztą wszędzie, indywidualizm twórczy rozmaitych mistrzów, a ich „szkoła" dawała oczywiście pewne kierunki i pewne wytyczne w tej czy innej dziedzinie sztuki.





Na lewo w kole:
DUŻO ZRĘCZNOŚCI TRZEBA KU TEMU!
Fałszywy ruch dłoni, pomyłka wzrokowa, chwila oderwania uwagi — a już niejednokrotnie powstaje błąd w inkrustacji czy koronkowej dłubaninie drzewnej, obniżający wartość wyprodukowanego przedmiotu o wysokich często walorach artystycznych.

Powyżej:
TAM — KĘDY POWSTAJĄ PRZEŚLICZNE KOBIERCE
Młodociany uczeń z pietyzmem przyswaja sobie sztukę tkactwa dywanowego, opartą na bardzo różnorakich motywach tego prastarego przemysłu Wschodu i Południa.





Powyżej w kole:
PRZY ŻMUDNEJ PRACY INKRUSTACJI
Wieleż cierpliwości i zręczności potrzeba, by powierzony sobie do „wykończenia" przedmiot bez zarzutu obrobić! A wykonanie musi być zawsze „ef-ef"!



Na prawo:
MAROKAŃSKA MŁODZIEŻ W SZKOLE PRZEMYSŁU ARTYSTYCZNEGO
Pod kierownictwem tubylczego nauczyciela kształci się młode pokolenie Marokańczyków w zdobywaniu umiejętności zostania mistrzem w różnych działach artystycznej wytwórczości krajowej.

Fot: Witzleben i Peters

SZTUKA

PANOWANIE KOBIET W U.S.A.

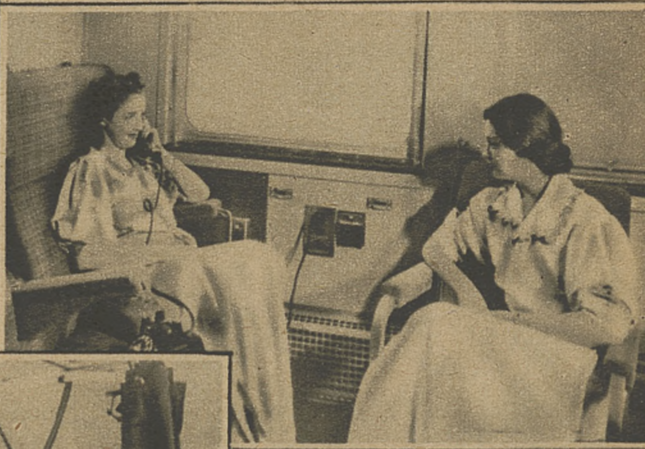
Stany Zjednoczone są jeszcze ciągle w pewnej mierze krajem nieograniczonych możliwości. Jedną atoli z największych osobliwości, tak bogatego tamże we wszelkie najoryginalniejsze przejawy życia, jest do prawdziwego chyba już absurdu doprowadzony kult kobiet, kult jednak w bardzo dziwacznej postaci, bo schlebiający jedynie na każdym kroku kobiecej próżności, otwierający przed mnogimi ich zastępami wciąż nowe i nowe „nieoczekiwane perspektywy".

To niemal że bałwochwalcze oddawanie pierwszeństwa we wszystkim amerykańskiej kobiecie, właśnie przerodzone następstwem rzeczy w wyżej wzmiankowany niezdrowy i nielogiczny jej kult, jest wykwitem pewnych specyficznych, dawno jednak zaistniałych wydarzeń na kontynencie Ameryki, gdy to pierwsi zdobywcy i osadnicy stanowili przeważającą naturalnie większość w stosunku do kobiet, będących po dzień dzisiejszy jeszcze legendarnymi bohaterkami walk z Indianami, istotnie dając wówczas dowody prawdziwego m ę s t w a i odwagi.

Fot: Behrens









Czas biegł „dziki Zachód" pozostał tylko w awanturniczych filmach, a rolę bohaterki grać może amerykańska kobieta z powodzeniem jedynie na srebrnym ekranie — niemniej jednakże nie zrezygnowała ona bynajmniej z pretensji do swej ważności a blask jej minionej sławy, podtrzymywany zresztą celowo sztucznie, jak o tym przekonać się łatwo, idzie wciąż za nią, i co gorsza, jest jej atutem w staraniach o wymuszenie sobie ogólnej czołobitności i podziwu.

Rozważmy na zimno istotne znaczenie kobiety w tym nawskroś praktycznym i trzeźwym kraju.

Rola kobiety „wyjątkowej pod każdym względem" bardzo jest pożądaną i upragnioną nawet na

Dokończenie na str. 10





Powyżej:
CZYM-ŻE BY MOŻNA ZWRÓCIĆ U W A G Ę KLIENTA!
Jeden z wielkich magazynów, reklamując kostiumy kąpielowe, używa ku temu celowi oczywiście ładnych i kształtnych żywych „manekinów", bo tylko tym sposobem próżność kobieca da się złapać na... wędkę kupna „takiego samego cudu", jaki prezentuję ukosmetyczone i wypedicurowane „bożyszcza tłumów", rzecz jasna, d o b r z e za to płatne.

Na prawo:
„TYLKO TE! Ż A D N E I N N E . . ."
Trzeba było tylko użyć do zareklamowania papierosów o nazwie „Chesterfield" fotosu znanej gwiazdy filmowej, by stały się one natychmiast rewelacją dnia! No, bo... „ona uznała je wszak za najlepsze..."

Na prawo powyżej:
„PODZIWIAJCIEŻ MNIE WSZYSCY, KTO TYLKO ŻYWI"
Tej, prawda że ładnej, girlsie, wmówiono od najmłodszych lat, że jest ósmym cudem świata. Uważa się też za skończoną Venus i szuka jeno sposobności, by podziwiano jej krasę, nie bacząc na to, czy nie ośmiesza się niekiedy swą próżnością i zbytnim afiszowaniem.

U góry:
WSZYSTKO TYLKO DLA KOBIET!
Jak „u siebie w domu" musi czuć się zepsuta ciągłymi pochlebstwami Amerykanka, nawet... w samolocie komunikacyjnym! Tak bywa „znużona i wyczerpana" paru-godzinnym co najwyżej lotem, że trzeba było koniecznie na pokładzie płatowca zainstalować aż luksusowy przedział sypialny!

Na prawo u góry:
NA . . . WOŁOWEJ SKÓRZE NIE SPISAŁBY TEGO . . .
. . . co amerykańska kobieta mniema o sobie sama! Natomiast autografy wybitnych „wielkości" filmowych mogą zdobić nawet taką skórę, jak wymyślił mistrz od szminki, pudru, ondulacji, słowem „dyrektor" instytutu kosmetycznego, bo . . . to jest oryginalne i trwałe! A której kobiecie nie chodzi o to, by sława jej przetrwała wiecznie?

Na prawo u góry:
JAK JUŻ P O D R Ó Ż O W A Ć, TO Z WSZELKIMI WYGODAMI!
Gdzież-by obeszła się „czarująca" Amerykanka bez telefonu choćby w wagonie kolejowym! W przedziałach tedy specjalnie dla kobiet przeznaczonych, znajdują się do ich dyspozycji aparaty, by każdej chwili mogły nagadać się „via radio" z... całym światem swych zainteresowań — do syta . . .

Poniżej:
Przeświadczone o swej wręcz niesłychanej „ważności" Amerykanki, pchają się wszędzie, czy trzeba czy nie trzeba. Oto z okazji jakiejś parady muszą naturalnie być na c z e l e — a jedna z nich w kostiumie „z dzikiego Zachodu" dzierży gwiaździsty s z t a n d a r w dłoni, boć przecie USA — to one, nikt inny!





Samochód ekspedycji naukowej prof. Grena parł z wysiłkiem poprzez bezgraniczne obszary wydm i piachów pustyni Gobi. Z trudem i mozołem walczono z szalejącym od dwóch dni orkanem.

Zaś wicher miotał tumanami złocistego pyłu, siekł ostrymi, gorącymi iglicami piasku — wył, huczał. Poprzez zbitą, ciemną mgłę rozświetlały się im przed oczyma jakoweś złudne miraże, to znów kolorowe, płonące koliska czy płaty kłuły zbolałe, źrenice, w znękanych uszach brzmiał ustawicznie przeciągły ryk wichury.

Naraz gdzieś z dali, gdzieś z otchłani wirujących zwałów zmierzwionych mas uderzył ich słuch, jękliwy, długi dźwięk jakby alarmowych syren.

Prof. Gren wystawił głowę z karoserii pustynnego samochodu.

— Słyszysz, Robercie? — głos jego chrypiał nisko.

— Yes! — brzmiała flegmatyczna odpowiedź.

A długi, przeraźliwy, ciągły jęk syren wcinał się dalej w huczącą gromami nawałnicę.

— Śmierć! — mruknął do siebie Gren i otulił się mocniej w skórzany skafander.

— Yes! — odburknął młody człowiek, zapisując coś w notatniku.

Naraz zapylony piaskiem motor maszyny warknął raz i drugi głośno.

— Nie! ja mam chyba halucynacje! — mamrotał Gren nasłuchując pilnie.

A młody reporter notował dalej szybko.

W tym momencie maszyna drgnęła i przez burzący się huragan, przez zwalające się na nią zwały piachu — ruszyła. Buro-złotawa poświata wisiała nad okolicą. Kiedy niekiedy tylko buchnęła liliowa błyskawica piorunu i znów wycie piekielne orkanu tarzało swe cielsko giganta w mrocznej przestrzeni.

Wóz jednak parł całą siłą motorów naprzód.

— Dobrze! — zwrócił się prof. Gren do reportera, — ale to przecie sprzeciwia się wszelkim prawom natury.

— Yes! — odciął tamten, skrobiąc zakurzonym Watermanem ciągle.

Wtem przez buro-zieloną mgłę, poprzez jazgoty wściekłe zawieruchy, ujrzeli łypiące gdzieś w nieokreślonym kierunku jaskrawe klingi blado-niebieskich świateł.

— Tak! Dostaliśmy obłędu! — krzyczał przez szum wichury Gren, w ucho reportera.

— Trudno! — mruknął spokojnie tamten, mierząc obiektywem aparatu przestrzeń.

Nagle burza ustała — — —

Zwolna buro-zielone opary piaszczystej mgły poczęły opadać. Na granat nocnego nieba wytoczył się sinawy księżyc i zalał szklistą powłoką wzgórza i wydmy, które wyglądały teraz niby krajobraz z innej planety. Ale z dali bezustannie błyskały zielone, szkarłatne, żółte wstęgi reflektorów. Hen zaś, na skraju horyzontu widniały podobne do gigantycznych budowli jakiegoś kolosa miasta — złomy murów.

— Przepadło! — szepnął profesor, przecierając raz po raz oczy — jesteśmy skończeni.

— Yes! — reporter kręcił zajadle korbką filmowego aparatu. A samochód coraz bardziej zwiększał tempo, prując pędem noc.

Wreszcie po godzinie górowały już nad nimi olbrzymie z czarno-niebieskiego nieznanego metalu skonstruowane baszty, ze szczytów których bluzgały snopy kolorowych blasków.

— Ależ, to chyba istotnie prawdziwe miasto — Gren nerwowo szczypał się po ręce.

Młody dziennikarz nie odrywał oczu od wizjera filmowego aparatu.

— Wspaniałe! Bajeczne! — wykrzykiwał — dolara za wiersz, za taki reportaż.

— Miasto w pustyni! Co za świetna powieść! 12 milionów nakładu.

Tamten skulił się, zmalał, burcząc coś pod nosem.

Wtem liliowa taśma reflektora dotknęła samochodu. Równocześnie zatrzymali się przed litym, może stumetrowej wysokości murem.

— Robercie! — zaczął profesor, mierzwiąc bródkę — a może my odkryliśmy jakieś miasto tajemniczej, zaginionej Lemurii lub Atlantydy . . .

Pamiętasz, że zawsze spierałem się z Elsonem, o to, że tu na Gobi znajduje się siedlisko prastarych cywilizacyj. I właśnie w tym celu, aby ugruntować moją teorię przedsięwziąłem tę wyprawę.

— Tak! To wszystko jedno! Ale przygoda jest kapitalna — młody dziennikarz zacierał z zadowoleniem dłonie.

— A jeśli przypłacimy ten przypadek życiem?

— Et, życie! Głupstwo! — Robert machnął pogardliwie ręką. I w tej sekundzie głos zamarł mu w gardle — przed oczyma zawirowały krwawe płaty, w mózgu uczuł dojmującą pustkę i za moment wraz z Grenem zwalił się na poduszki samochodu. A w tej samej chwili w murze rozchyliły się ogromne odrzwia i dwie potężne muskularne istoty porwały ich ciała i wsadziły do klatki windy.

* * *

Robert rozwarł zbolałe powieki. I oto przekonał się, że leży na miękkim tapczanie, w obitym czarno-szkarłatnymi atłasami pokoju.

Nad nim pochylała się o płonących diamentowych oczach i lubieżnych, wypukłych wargach twarz kobiety.

Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, ale w źrenicach jej zapłonęły złośliwe błyski.

— No, jakże się pan czuje? — nuta ironii drgała w jej głosie.

Zerwał się na równe nogi.

— Gdzie jestem? Co się właściwie stało? Przecież byłem niedawno w pustyni!

— I znajduje się pan tam nadal, tylko w innym, może milszym otoczeniu! Czy nie? — purpurowe usta wygięły się ponętnie.

— Może notes? Zechce pan zapewne coś zapisać . . . — szyderczy ton nadal igrał w jej słowach.

— Ooo! niech się pan cieszy! Zdobędzie pan sławę — zostanie pan cenionym pisarzem!

— Świetnie, proszę pani! — Ale proszę mi najpierw powiedzieć, gdzie ja się znajduję?

— W „Mieście Szatana"! . . .

Parsknął jej w twarz śmiechem.

— Pani jak widzę, lubi dowcipy! XX wiek i „Miasto Szatana" . . .?

— No, to niech pan spojrzy! — nacisnęła ukryty w draperiach taster.

Natychmiast oczom zdumionego reportera ukazał się niezwykły obraz: oto pokój jego mieścił się na szczycie chyba 400-to metrowej wieżycy, skąd roztaczał się jedyny w swoim rodzaju widok. Gdzie okiem rzucić w przestrzeń, strzelały proste perspektywy z jakiegoś srebrzystego metalu wykładanych ulic, nad nimi zaś pyszniły się kunsztownymi kształtami, bogato rzeźbione w ciemnym brązie, kolumnowe amfilady. Dalej znów piętrzyły się potężnymi graniastosłupami stali i betonu krwawo-czerwone baszty. A ukryte w ogrodach, przetykanych egzotycznymi, dziwnie tęczowymi drzewami oraz kwiatami, kryły się z lazurowego marmuru pałacyki, hen, zaś na samych krańcach owych dziedzin biło w przestwór krzykiem strzelistych, koronkowych na kształt gotyckich świątyń — lśniące ciemnym złotem zamczysko. Nad nim płonęły krwawo, o intensywnej czerwieni płomienie fosforyzujących ogni.

— To zamek Pana Zła — wskazywała na kolosalną budowlę hebanowowłosa.

— Nadzwyczajne! Kapitalne! — notował Robert Ralfson, ciesząc się jak dziecko.

— Co ja mówię? Dwa, trzy dolary za wiersz!

Zapukano dwukrotnie we drzwi.

— Moja teoria stała się pewnikiem! — już z głębi korytarza dobiegł do uszu Roberta znany akcent Grena.

— Ha, ha, ha, ten głupiec Elson dowie się wreszcie o realnym istnieniu na naszym globie nieznanych potęg . . .

— Przepraszam panią — zwrócił się do czarnowłosej — przepraszam! jeszcze nie miałem zaszczytu się przedstawić. Kiedy jednak spojrzał w jej twarz — znów zaczął się szczypać po rękach.

— Co jest? — bełkotał — przecież ta niewiasta kropla w kroplę podobna jest do tej, którą zastałem po przebudzeniu się w moim pokoju.

— — — Przedstawić! — huknął nagle po raz wtóry głośno — Gren! Prof. nauk okultystycznych Gren — — —

Reporter ściskał go serdecznie.

— Myślałem, że ci się co stało kochany profesorze — mówił — a ty jak widzę doskonale się trzymasz.

— Spójrz! widziałeś co za pyszny widok! — wskazał na zalane blaskami jakiejś fluoryzującej liliowej poświaty miasto.

Dr. Gren nakładał okulary.

— Tak, ten głupiec Elson — będzie musiał wreszcie uwierzyć — świszczał przez zęby.

— Robercie! a sfotografowałeś to wszystko?

— Yes! Trzeba! — dziennikarz szukał w podręcznej walizeczce swego aparatu.

— Chodźcie panowie! Udamy się obecnie zaanonsować naszemu władcy.

Gnali niedużym ślizgowcem niesamowicie wyglądającymi ulicami, po których snuły się dziwne postacie. Czarni o krótkich szwedzkich bródkach mężczyźni, odziani w długie peleryny, jakieś skarłowaciałe, rachityczne typy o rudym zaroście i cudownie piękne, o demonicznych rysach i przepysznych, pełnych kształtach kobiety, otulone w przejrzyste purpurowe tkaniny, przez które przeglądały oliwkowo-złote ciała.

A nad wszystkim wisiała głucha, tępa cisza. Mieszkańcy tego grodu bowiem mówili szeptem, chodzili bezszelestnie, niczem zjawy z innych wymiarów.

Zaś gmachy, pałace, ulice mieniły się ciągle w zmiennych feeriach kolorowych smug reflektorów. Właśnie mijali dzielnice fabryczne. Olbrzymie, żelazne przęsła rurzysk plątały się gdzieś pod niebem, to znów wybuchały walcami stali potężne, żarzące się purpurą piece, połączone ze sobą, gigantycznymi wiaduktami wiszarów, połyskujących widmowo w blado zielonej poświacie.

I cisza — — —

niema, pusta, głucha. Aż zza węgła jakiejś budowli wytoczyły się kanciaste dwudziestometrowe metalowe potwory. Kroczyły butnie, wybijając żelaznymi kikutami rytm, łypiąc krwawymi umieszczonymi w kwadratowych stalowych czaszkach oczyma.

Wpadli potem w długi, ziejący czernią tunel. Tańczyły tu po ścianach rubinowe skrzenia i szum jakiś piekielny burzył mrok. Nakoniec rozwarła się przed nimi rozległa połać zasłana morzem świecących, lśniących wszelkimi odcieniami fluoryzacji sztucznych kwiatów. Płomyki rubinowe, splatały się z szafirowymi, skrzenia topazów z opalowymi, race brylantów więziły heliotropy.

Robert Ralfson wydał okrzyk triumfu.

— Pięć dolarów za wiersz! Za taki reportaż! — prawie wrzasnął w ucho Grenowi, manipulując w Wartermanie.

— O tak! Elson, to kompletny głupiec! Zawsze mówiłem! — mełł doktor, szukając w kieszeniach zapalniczki.

Po szkarłatnych wargach kruczowłosej przewinął się cień ironii.

— Naprawdę doskonali jesteście, wy, ludzie z tamtej strony bytu! — powiedziała poprawiając swe lśniące czernią pukle.

— Przepraszam? — zagadnął Gren. — Z tamtej strony Bytu? Czyli, że nie znajdujemy się na ziemi?

— Za wiele ciekawości, profesorze! Może kiedyś dowie się pan o tym! Ale teraz szaaa! — położyła palec na pełnych ustach.

Szkarłatno-złote bryzgi światła zalały im oczy . . .

Przed nimi gorzał sytością złota pałac Władcy Zła.

Po różanych, cieplistych barw schodach wstąpili do wnętrza wspaniałego hallu. Ze stropu zwisały sfałdowane czarno-lazurowe atłasowe draperie, olśnione wstęgami pastelowo-promiennego światła. Tu i ówdzie ukryte niespotykanej wielkości diamenty, taiły w sobie niezmierzone głębie tęczowych ogni. Woń duszna, ciężka, omdlewająca przesycała atmosferę.

— Przybysze z ziemi, Netto! — prezentowała ciemno-włosa zwracając się do smukłego o trójkątnej ostrej twarzy i spiczastej blond bródce mężczyzny.

Doktor Gren stropił się niemało. Bowiem już drugi raz posłyszał dziwaczne określenie i nie umiał go sobie wytłumaczyć.

Czarne, otchłanne źrenice Netto wlepiły się w nich złocistymi błyskawicami.

— Dobrze! — powiedział, a w gruncie rzeczy nie poruszył nawet wargami, chociaż Gren i Robert usłyszeli wyraźnie niewymówione słowa — zapowiem o tym ważnym wydarzeniu naszemu władcy.

Uchylił ciężką kotarę i zniknął za nią.

Po chwili pojawił się powtórnie.

— Pan Zła wezwie was niedługo o 12-tej nocą! — nadał znów telepatycznie. Wtem Robert krzyknął z przerażenia. Bo też diamentowooki gentleman rozpłynął się w zwiewną mgłę i przeniknąwszy przez ściany — zniknął . . .

Dr. Gren szczypał się zawzięcie po rękach.

— E! my chyba jednak Robercie jesteśmy jeszcze na Gobi! Ba! wykładałem wprawdzie nauki okultystyczne, ale z tego rodzaju niesamowitościami nie spotkałem się nigdy!

Reporter zwalił się bezwładnie na fotel, wpatrując się bezmyślnie, tępo w delikatnie rzeźbioną twarzyczkę Linno. Ona zaś uśmiechnęła się tylko na wpół-wyrozumiale, na wpół-sarkastycznie po czym rzekła:

— Pamiętajcie, panowie, że przebywacie w „Mieście Szatana", gdzie wszystko jest możliwe! To zaś, coście mieli możność zobaczyć — było jedynie najzwyczajniejszą dematerializacją!

— A obecnie udamy się do „Klasztoru Wiedzy", gdzie zaznajomicie się z niektórymi dziedzinami naszych nauk tajemnych, abyście później tym lepiej mogli się wywiązać z poruczonych wam zadań.

Nieduży, przypominający kształtami cygaro, srebrzysto-biały samochód sunął bezszelestnie po gumowych jezdniach. Ulice zalewały szkarłatno-czarne rozlśnienia świateł. Zwolna zapadał zmrok, tak, iż wspaniałe mroczne pałace, pyszniły się feeriami klejnotowych odcieni. Potem wpadli w jakąś dzielnicę gigantycznych budowli, kolosalnych, zda się z miedzi i brązu kutych sześcianów, graniastosłupów, stożków 200-metrowej wysokości, powiązanych ze sobą węzłowiskami potwornych kabli, drgających monotonnym pomrukiem, ukrytych zapewne wewnątrz maszyn. Ściany ich podobne wyciosanym z matematyczną precyzją gigantycznym złomom, piętrzyły się jedne nad drugimi przekreślając niebo geometrycznie prostymi pasami.

Oślepiające migotliwe błyskawice liliowych wyładowań przeskakiwały z miejsca na miejsce w czeluściach wysokości.

— Są to nasze kondensatory sił hipnotycznych — objaśniała Linno.

— Nie! proszę pani, ja stanowczo, albo oszaleję albo już oszalałem — przerwał jej gwałtownie Gren — boć wszakże moja wiedza nie może pogodzić się z tego rodzaju określeniami.

— Proszę więc przyjąć do wiadomości, profesorze, że wiedza wasza jest dopiero w powijakach i w zasadzie nie wie nic . . .

— Pani mnie jako jej przedstawiciela obraża! Przecie żyjemy w XX-tym wieku, erze najwspanialszego jej rozkwitu!

Śmiech pełen beztroski a przy tym wyższości wydarł się z jej piersi.

— Naukę prawdziwą pozna pan dopiero w naszym „Klasztorze Wiedzy", profesorze!

Tymczasem Ralfson przeszukiwał pilnie kieszenie oraz małą walizeczkę, aż z rozpaczą opuścił ramiona.

— Nie mam już filmów! — bąkał tragicznym głosem.

Mój reportaż przepadł na nic!

Linno nakreśliła w powietrzu kilka linii — szepcząc coś w nieznanym języku i Robert wydał ryk zdziwienia. Jego walizeczka mianowicie pełną była tak upragnionych filmów.

Wtedy dr. Gren zatrzymał gwałtownie auto.

— Przepraszam moi państwo, ale muszę się przemyć w tej sadzawce, czuję bowiem, że ze mną jest źle . . .

— Ale jednak ten Elson okazał się głupcem, bo ja stale udowadniałem o istnieniu innych wymiarów.

Wtem nieludzki krzyk trwogi zacharczał mu w gardle.

— Robercie! Robercie! Widzisz! My . . . tam . . . w pustyni . . . słuchaj jak okrutnie huczy orkan! Ooo! ten zwał piachu zasypie nas nieuchronnie! — miotał się, wymachując ramionami.

Wtedy Linno dotknęła dwoma palcami lewej ręki jego oczu.

— Aaach! Co to? Gdzie jestem?

— Byłeś i będziesz profesorze w „Mieście Szatana" . . . A to tylko był taki maleńki eksperymencik hipnotyczny — mówiła dźwięcznie.

Jechali wśród przestrzennych pól i łąk, szumiących niezwykłymi, wydzielającymi wewnętrzne kolory światła, kwiatami. Ogromne ich kielichy o miękkich pastelowych barwach, nasycały powietrze bladawym liliowym, zielonym, to karminowym lśnieniem. Podobne były do dużych lampek, chwiejących się na długich łodygach. Wytryskujące z nich kolorowe linie krzyżowały się w przerozmaitych kierunkach, tworząc całe systemy prostych oraz przekątni, a refleksy ich dążyły daleko w noc. A nad nimi wirowały szerokimi koliskami jakby z aksamitu wycięte nietoperze, jaśniejące to szkarłatem, to błękitem fosforyzującej jasności.

A tam na skraju widniał łukami i arkadami kolumn, ciosanych w granatowo-czerwonym marmurze „Klasztor Wiedzy".

Półmrok — — —

Tylko atmosferę przenikają delikatne, a potężne i sugestywne drżenia, budzącej zmysły muzyki. I jakoweś widma białawe, świetlane, czy lekko selenowe, przejrzyste, słaniając się tam i sam.

Cisza — — —

Niekiedy jedynie załka hen w jej mroczniach stłumiony jęk lub przetrze brzaskiem szkarłatu bezszelestna błyskawica.

* * *

Ślizgowiec zatrzymał się. Bezgłośnie rozwarły się ciężkie podwoje i Gren oraz Robert znaleźli się raptem w ciemnej, wykładanej czarnym metalem hali, gdzie tylko w czterech jej kątach płonęły rubinowe znicze.

— Bądźcie pozdrowieni w Imieniu Wiedzy Zła! — doleciał do ich uszu szelest słów — ale o dziwo, na sali nie było nikogo.

Potem rozchyliła się, tkana miodnymi opalami kotara i ukazały im się, niekończące się amfilady sal, krużganków, komnat, idących w różne strony na kształt olbrzymiego labiryntu. A wszędzie księgi, foliały, stosy ksiąg. Środek zajmowały biurka z garniturami skórzanych foteli, na któ-

rych znowu kłębiły się w nieładzie masy dzieł. Mijali komnaty za komnatami, salę za salami, lecz owiewała ich tylko cisza i pustka. Aż w jednym z maleńkich, bocznych pokoików ujrzeli, odzianego w sięgający podłogi czarny habit mężczyznę, którego twarz prawie tonęła w wełnistej czarnej brodzie. Olbrzymie, stalowe oczy tchnęły lodową zimnią:

— Z nakazu sił wyższych, zostałem mianowany waszym duchowym kierownikiem, zaś zadaniem moim będzie wtajemniczenie was w arkana „Magii Zła"...

— Nic tylko ustawicznie tu słyszę zło, zła, źle odmieniane we wszelkich możliwych deklinacjach — wybuchnął namiętnie prof. Gren — a bądź pan przekonany — przybliżył swe zaczerwienione oblicze do twarzy mnicha — że wcale, a wcale ani ja, ani mój towarzysz nie mamy zamiaru czy chęci służyć owym waszym mocom Zła! Prawda Robercie?!

— Yes! — burknął reporter spokojnie. I ja mam już dość tych złośliwości.

Lecz olbrzymie, stalowe źrenice mnicha wtopiły się w nich z druzgocącym nakazem tak, iż Gren i Ralfson zatoczyli się jak pijani, osuwając się na najbliższą sofę.

Wówczas mag nakreślił nad ich głowami opalem oprawnym w złoty sygnet jakieś kabalistyczne znaki i powieki zawarły się im na oczach twardo.

*

A dzienniki i pisma stolicy krzyczały czerwonymi prostokątami liter niepokoju o zaginięciu w pustyni Gobi dwóch członków wyprawy naukowej prof. dr. Grena oraz znanego reportera Roberta Ralfsona:

„Według wszelkiego prawdopodobieństwa dwóch dzielnych śmiałków zasypał orkan piaszczysty, szalejący nad pustynią — pisał właśnie, zastępujący Ralfsona dziennikarz —

Cześć ich bohaterskiej pamięci..."

W tym momencie zabłysła zielona żarówka sygnalizacyjna radiowego aparatu.

Młody człowiek przerwał pracę i włożył na uszy słuchawki:

— Hallo! Hallo! dźwięczał melodyjny głos — tu Gobi — 4-ty czy 8-my wymiar... „Miasto Szatana"... Mówi Robert Ralfson... UWAGA! UWAGA! Nadaję I-szy reportaż z tego grodu... P o w t a r z a m : „MIASTO SZATANA".

Głos potem zamarł w słuchawce.

Zaś w tej samej sekundzie Gren wraz z Robertem siedzieli przy zastawionych najrozmaitszymi przyrządami i machinami stołach, słuchając wykładu niskiego, garbatego, pokręconego rachitycznie człowieka o sępich złośliwych oczach.

— Jeśli pragniecie panowie z daną, oddaloną o tysiące kilometrów osobą nawiązać kontakt — nie potrzebujecie do tego celu używać aparatu radiowego. Mózg bowiem ludzki, jak dowiedli nasi uczeni stanowi również pewnego rodzaju przyrząd nadawczo-odbiorczy i przy władaniu odpowiednią sztuką wysyłania emanacji — może dokonywać wręcz cudownych rzeczy.

Otworzył płaski dużych rozmiarów sześcian, kryjący w ciemnym wnętrzu błyszczącą taflę srebrnego zwierciadła.

— Spójrzcie tu panowie — rzekł, zapalając tkwiącą tam żarówkę.

— Cud! — huknął Robert — Doktorze popatrz! Nasza redakcja w stolicy! O! ten młody bubek Nelget, redaguje właśnie pogrzebowy artykuł o nas! Widzisz profesorze!

— Hallo! hallo! — skandował dobitnie tu 4-ty czy 8-my wymiar... GOBI... „MIASTO SZATANA"... UWAGA! UWAGA! Nadaję I-szy reportaż z tego grodu... P o w t a r z a m „MIASTO SZATANA".

— Dość! — przerwał garbus — to, co się będzie u nich działo zanotują nam nasze filmy astralne...

Ale obecnie przerwę na moment wykład i wyjaśnię panom. po co w ogóle zostaliście tu ściągnięci siłą naszych hypnotycznych stacji.

Przysłuchiwali się z zainteresowaniem wywodom uczonego, Po ostatnich zabiegach sugestii we śnie — nie okazywali już zgoła żadnych objawów zdenerwowania ani podniecenia. Czuli jedynie, że wola ich została w zupełności zadławiona, że nie mogą przedsięwziąć już niczego, co by się sprzeciwiało rozkazom ich „duchowego" opiekuna.

Ciąg dalszy nastąpi

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

Sporna zabawka

Spór o aksamitnego pajaca trwał już pół godziny. Mały blondasek Basia i brunetka Krysia zdecydowane były prowadzić go nadal.

Basieńka była kapryśna i niezwykle samowolna. Nie robiła sobie nic z perswazji i uwag starszych. Swoje uparte zawsze nieuzasadnione a niestety w domu wieloznaczące: — „nie" — umiała wypowiadać w najbardziej niefortunnych momentach.

Największą jej radością było przewodzenie nad koleżankami i towarzyszami zabaw — i robienie im zawsze przez wrodzoną i nabytą przekorę na złość, na przekór.

Za fortepianem miała swój kącik, gdzie z największą przyjemnością oddawała się najbardziej radosnym a zakazanym czynnościom: obgryzaniu paznokietków albo dłubaniu w nosku brudną rączką.

Krysia była pieszczoszką swojej mamusi i swojego tatusia. Była tak pełna wdzięku, że trudno sobie wyobrazić. Z czasem nabrała przekonania, że nikt nie zauważy brudu na nieumytej szyjce, gdy rozkosznie się uśmiechnie — a jeden pocałunek potrafi załagodzić radykalnie ból wywołany złośliwym uszczypnięciem, czy zdradzieckim uderzeniem jej małej rączki.

Dwie przyjaciółki pokłóciły się o aksamitnego pajaca.

Była to zabawka, jak wiele innych — ba! nawet dużo o wiele ładniejszych pierotów patrzało na dziewczynki szklannymi oczyma zza witryn sklepowych.

Można było łatwo załagodzić sprawę przez obdarowanie pajacem jednej z dziewczynek i kupienie w bazarze tanich zabawek podobnego dla drugiej z nich.

Ale one nawet słyszeć o tym nie chciały.

Chodziło im właśnie o to: która go weźmie, a która będzie zmuszona ustąpić. Żadna nie rezygnowała.

Energiczna Basia uważała, że cały świat do niej należy i we wszystkim do niej się stosuje. Los więc pajaca od razu powinien być przesądzony... powierzony jej łapczywym rączkom...

Śliczna Krysia twierdziła, że urodzie jej i wdziękowi nic oprzeć się nie może i za jeden uśmiech pajac należeć powinien do niej bez płaczów, awantur i obcych interwencji.

I oto przykładna, najszczersza przyjaźń rozbiła się o metalowy dzwoneczek na błazeńskiej czapce pajaca, o pusty uśmiech jego ust i szklanych oczu.

One — zawsze nierozłączne, które przysięgały sobie przyjaźń dozgonną, w najcudowniejszej zgodzie chodziły razem do szkoły, na spacery i rytmikę — które używały do spółki jednej harmonijki ustnej i jednej chusteczki do nosa — pokłóciły się o pajaca...

Drobne rączki ślicznej Krysi nade wszystko lubiły pieszczotę dotyku aksamitnej materii, z której sporządzone miał ubranko. Śmieszna twarz zabawki była podmalowana jaskrawo czerwonym kolorem, który dla małej dziewczynki krył w sobie tyle czaru, podobał się zawsze i podobał.

Póki aksamit nie wytarł się i nie stracił świeżości — pajac dla małej był skarbem prawdziwym.

Póki tylko karmin na jego twarzy nie stracił na intenzywności i efekcie — byłby jej towarzyszem nieodstępnym.

Nastawienie czupurnej Basi do zabawki było wręcz inne. Nie lubiała pieszczot. Lalka, choćby najpiękniejsza nie czarowała jej urokiem nowości i piękna.

Z każdą nową lalką Basia bawiła się w jeden, zawsze ten sam sposób. Mały jej czynny umysł zgłębić chciał tajemnicę: — A co jest w środku? — Chciwe, nerwowe rączki pozbawiały zabawkę naprzód wierzchniego okrycia, szperały śród koronek i jedwabików uroczych lalczynych dessous — by potem zrzucić wszystko prędko, niecierpliwie. Małe paluszki bez drgnienia bólu i zbudzonego skrupułu sumienia rozdzierały powłokę — i gdy ostatecznie ciekawym, okrutnym oczkom ukazywały się sypiące bezbarwne trociny — odrzucała lalkę z odrazą, wstrętem przed ohydą tajemniczego przedtem wnętrza, namacalną szpetotą mechanizmów działających w środku.

Basia uważa, że zabawka jej jedynie należeć się może.

Zawsze dotychczas potrafiła swymi wybrykami i krzykiem tak zawojować starszych, nawet mamę i piastunkę Martę, taki wywołać popłoch awanturami i płaczem — że ustępowano jej na każdym kroku.

— . . . Żebyś tylko nie krzyczała . . . — upewniała się mama wręczając jej kilową torebkę słodyczy.

— Nie denerwuj starej niani . . . — mówiła z prośbą osoba, przed którą dziewczynka powinna była mieć respekt i szacunek.

Jakże to mogło być, że spór o zabawkę przeciągał się już tak długo i nie wykazywał jasno jej w nim zwycięstwa? . . .

I jeszcze, gdy chodziło w dodatku o tak marny gracik o jakiegoś tam tandetnego pajaca i to bez mechanizmu do mówienia.

I żeby chociaż miał na brzuszku taką ciekawą pieczątkę jednej z lepszych firm fabrycznych! . . . Ale i to nie!

Na samej zabawce Basi nie zależało.

Tak jak nie zależało jej przedtem na pluszowym niedźwiadku, na cynowym żołnierzyku i lalce wyciętej z żurnala.

Nie licząc już tych innych wypełniających szuflady i szafki, poniszczonych, odrzuconych. Zapomnianych.

Wartość miało tylko samo zwycięstwo nad śliczną Krysią, uciecha, gdy oczka tamtej zajdą łzami i ze skargą i szlochem pójdzie do tatusia opowiedzieć o zajściu, o swej krzywdzie. A Krysia była także zdumiona, że nie jej przyznano od razu sporną zabawkę. Czy oparł się ktoś kiedyś jej sarnim wielkim oczom i dołeczkom w buzi? . . .

A w dodatku pajac tak się jej podobał, tak podobał . . .

Tak jak zawsze, gdy dostawała nową zabawkę, zdawało się jej i teraz, że zabrała jej część małego seduszka . . .

A karmin na buzi lalki urzekał, oczarowywał. A gładkość aksamitu aż prosiła o dotknięcie.

— Muszę dostać pajaca i dostanę, zobaczysz — piąstki małej Basi zaciskają się groźnie.

— Ach! Jeszcze zobaczymy! Zresztą nie zależy mi tak bardzo na nim — ale łzy złości i zdenerwowania pieką pod powiekami.

— Chodź pajacyku do mnie — mówi po chwili cichuteńko, gdy na chwilę została sama z miłą zabawką w dużym dziecinnym pokoiku — powiem ci, co sądzę o Basi, mojej przyjaciółce: Basia jest brzydka i niedobra. Wszyscy się skarżą na nią, ciągłe z nią awantury. Żebyś wiedział, co ona wyrabia! . . . I ciebie także będzie męczyć. Powinieneś uważać, by nie wpaść w jej ręce. Znajdź sobie inną panią. Tyle jest dobrych dzieci . . .

— Nie słuchaj, co mówi ci ta ślicznotka — mówi Basia — ona myśli, że dasz się złapać na jej grzeczną minkę i słodkie słówka. Krysia jest głupia, bo jest grzeczna. Chyba zgadzasz się ze mną pajacyku, że nie ma większej radości nad niesłuchanie i krnąbrność wobec starszych? . . .

A pajac, bezduszna lalka, z równie miłym a bezbarwnym uśmiechem (to zawsze należy do roli pajaca! . . .) siadywał na kolankach ślicznej Krysiuni a potem przechodził z kolei do rąk butnej Basi — nie wiedząc, że pierwsza dość rychło znudzi się pieszczotą i urokiem nowej, teraz tak pożądanej zabawki, a druga zadać mu może najbardziej dotkliwy ból, pokaleczyć, zniszczyć . . .

— Słuchajcie — rozległ się głos mamy z sąsiedniego pokoju — Staś przyniósł złotą rybkę i wpuszcza do akwarium. Jest śliczna. Czy przyjdziecie ją zobaczyć? Na pewno wam się spodoba.

I od razu pobiegły obie zachwycone niespodzianką.

Przy akwarium podały sobie nawet ręce, by wygodniej było wspiąwszy się na paluszki obserwować złote refleksy na łusce wodnego stworzonka.

Jednakowe, zgodne padały słowa zachwytu i olśnienia — ale już w podświadomości czaiła się trudna, wciąż powtarzająca się myśl, że znów rybka jest tylko jedna, a ich jest dwie . . .

Na podłodze w dziecinnym pokoju leżał porzucony nagle, niedbale aksamitny pierot. Gdy nie doczekał się ani Krysi ani Basi, powędrował do zacisznej, przestronnej szuflady w dziecinnej szafce . . . i czy to złudzenie, czy halucynacja . . . odetchnął z ulgą . . .

Spór o zagranicznego konsula trwał już pół kwartału. Panna Basia blondynka i czarnulka Krysia zdecydowane były prowadzić go nadal.

Pierwsza była rozkapryszona i zepsuta przez powodzenie. Nie starała się bynajmniej podtrzymywać nieskazitelnej opinii o starym rodzie, z którego pochodziła. Uważała się za pannę ultra-nowoczesną, anarchistkę, burzycielkę starych autorytetów, przesądów i przekonań.

Największą jej satysfakcją było imponowanie młodzieży obydwóch płci robieniem tego, czego tamci nie śmieli czynić — a nie robieniem tego, co oni uważali za właściwe.

Przy Alejach miała swoją garsonierę, o której dużo się mówiło w towarzystwach i to z wielkim zgorszeniem, jakoby tam już nic nie miało krępować swobody młodej panny w doborze towarzystwa i zabawianiu go.

Panna Krysia była bożyszczem ludzi kochających klasyczne piękno. Była tak pełna wdzięku, że trudno sobie wyobrazić.

Z czasem nabrała przekonania, że najfatalniejszy nietakt będzie umiała pokryć swoim rozkosznym uśmiechem a pieszczota wyrafinowana równie klasycznie jak uroda potrafi zatuszować radykalnie jej kłamstwa, złośliwą zawiść i rozliczne, małe zresztą „światowe" świństewka.

Dwie przyjaciółki pokłóciły się o zagranicznego konsula.

Był to młody człowiek jakich wiele — ba! o wiele nawet przystojniejszych i bardziej postawnych spotykały obie panny codziennie na ulicach wielkiego miasta.

Jakże łatwo i dyskretnie mogły załatwić między sobą drażniący konflikt: jedna z pań zdobywać mogła owego konsula — a druga z podobnym efektem innego prezesa, czy doktora.

Ale one nawet słyszeć o tym nie chciały.

Chodziło im właśnie o to, której z nich konsul oprzeć się nie będzie w stanie. Żadna nie rezygnowała.

Radykalna Basia uważała, że świat należy do niej, a ze światem i wszyscy na nim konsulowie. Nie było więc argumentu, dla którego ów młodzian miał nie zaspokoić jej na niego ochoty.

Śliczna Krysia uważała, że piękności jej i sex appealowi żaden mężczyzna oprzeć się nie śmie i za jeden uśmiech każdy winien dać się wprzęgnąć w rydwan jej wielbicieli.

I oto przykładna, najszczersza przyjaźń rozbiła się o szumny dźwięk obcego, intrygującego nazwiska młodego dyplomaty, o fascynujący uśmiech i głębię jego oczu.

One — zawsze nierozłączne, które widywano zawsze razem, czy to w biurze, czy na letniskach podczas urlopów, na dancingach i rautach, które ubierały się u jednej krawcowej i modystki, używały tego samego pudru — pokłóciły się o mężczyznę...

Drobne dłonie warszawskiej piękności, smukłe i rasowe same jakby prosiły się o pieszczotę — i potrafiły ją dawać . . . szczodrze. Męska twarz konsula pociągała ku sobie i intrygowała niespokojnym, namiętnym rysunkiem ust z odcieniem cynizmu, który dla kobiety kryje w sobie tyle czaru. Póki flirt z nową znajomością i zbliżenie się nie wywołają nudy — dla panny Krysi będzie ona wszystkim.

Póki nie znikną, nie przejdą dreszcze emocji, zainteresowanie — będzie jej towarzyszem nieodstępnym.

Nastawienie wolnomyślnej panny Basi do nieznajomego było inne. Nie była sentymentalna, mężczyzna nie oczarowywał jej nigdy aż do stanu zapamiętania się ani urodą ani obejściem.

Każda nowa znajomość służyła jej do zaspokojenia sadystycznej ciekawości i rozwiązania jednego problemu psychologicznego: — Jakim jest ten człowiek? Jak reaguje? Co go boli, co myśli? . . .

Chciała go widzieć obnażonego duchowo, bez żadnej osłonki światowego konwencjonalizmu, gdy instynkt szczerości bierze górę nad rozsądkiem i polorem kultury. I pozostawała przytomna zawsze, trzeźwa, ta obserwatorka, bezlitosny krytyk — a gdy ostatecznie wiedziała już wszystko, poznała brzydotę i ubóstwo wewnętrzne człowieka, który jej zaufał i oddał się jej cały takim, jakim był, a nie takim, jakim chciała go widzieć — odsuwała go pełna odrazy bezwzględnie jak najdalej od siebie.

Panna Basia uważa, że dyplomata należeć do niej tylko może.

Zawsze dotychczas potrafiła swymi wyczynami i temperamentem zawojować całe towarzystwo, nawet oficjalnego narzeczonego i zwierzchników, taką wywołać konsternację — że ustępowano jej na każdym kroku.

— . . . Żebyś tylko mię nie kompromitowała! . . . — upewniał się przyszły mąż na wszystko inne machnąwszy ręką.

— Nie rzucaj szanowanego nazwiska na żer sensacji! — prosiły autorytety rodowe, w każdym innym wypadku budzące respekt i szacunek.

Jakże to mogło być, że rywalizacja ich o mężczyznę przeciągała się tak długo i nie wykazywała jej zwycięstwa?

I jeszcze, gdy chodziło w dodatku o tak niepokaźne indywiduum, o jakiegoś tam nieznanego konsula bez sławy i rozgłosu! . . .

I żeby chociaż miał w rodzie herb jakiś ładny, znany, wywodzący się od starożytnych Rzymian . . . Ale i to nie!

Na samej osobie konsula Basi nie zależało.

Tak jak nie zależało jej przedtem na prezesie koncernu metalurgicznego, na pięknym poruczniku i uczuciu wysokiego studenta.

Nie licząc już tej całej gwardii gorących wielbicieli i kochanków, zgnębionych, odsuniętych. Zapomnianych.

Wartość miał tylko sam triumf nad piękną Krysią, pokonanie jej, upokorzenie, bezsilna tamtej złość, która wyładuje się w robieniu skandalicznych plotek na jej temat.

Panna Krysia była także zdumiona, że przedmiot ich zawiści jeszcze nie uznał się zawojowanym przez jej zabiegi i sztuczki i przez tę jej niewysłowioną urodę . . .

A w dodatku młody człowiek tak jej się podobał, tak podobał . . .

Tak jak zawsze, zawierając nową znajomość, zdawało się jej i teraz, że się po pensjonarsku zakochała . . .

Drażniące, męskie usta urzekały, oczarowywały. Była w nich słodka obietnica uniesień, rozkoszy.

— Muszę zdobyć go i zdobędę, zobaczycie — rzuciła światu harde wyzwanie panna Basia.

— Ach! Jeszcze zobaczymy! Zresztą nie zależy mi na tym specjalnie. — Kryła swoją irytację pod maską obojętności jej rywalka.

— Chodźmy się przejść — proponuje, gdy dyplomata odprowadza ją z przyjęcia u znajomych i pośród cudnej gwiezdnej nocy są sami — nie jestem plotkarką . . . ale co pan sądzi o mojej przyjaciółce? Czy według pana zdania jest ładna? Trochę należy się dziwić jej ekstrawagancjom. Potrafi unieszczęśliwić tych, co zbliżą się do niej . . . Nie przypuszczam, żeby to panu groziło... Tyle jest pięknych, interesujących kobiet...

— Nie wierzyłabym nigdy temu, co mówi ta pięknisia. Ona myśli, że cnotliwa minka i powściągliwe słówka są pociągające. Jakaż jest niemądra z tą swoją świętością! My, nowocześni zgadzamy się chyba z tym wszyscy, że nie ma nic przyjemniejszego nad użycie, wyżywanie się? . . .

A młody konsul z równie pochlebnym a nieodgadnionym uśmiechem (od czegóż był dyplomatą? . . .) umawiał się z piękną Krysią i dyskutował bezpośrednio potem z trzeźwą panną Basią — nie zdając sobie sprawy, że pierwsza tak samo prędko jak teraz dąży do zbliżenia, zapomni o nim, a druga zranić dotkliwie może jego miłość własną, ambicję i najszczersze uczucie . . .

— Słuchajcie — zasugestionowała je obie trzecia przyjaciółka Mimi. — Mój kuzyn przyjechał z Paryża z kolegą. Powiadam wam, czarujący. Przyjdziecie dziś do nas na bridża? Na pewno się wam spodoba!

I od razu poszły obie zachwycone perspektywą nowych wrażeń.

Przy bridżu grając naprzeciwko pomagały sobie nawet wzajemnie, by i dobrą, wycyzelowaną grą oczarować nowopoznanego paryżanina.

Jednakowo potem korzystnie oszacowały nieznajomego — ale już w intonacji słów czaił się ów zawiły a wciąż aktualny problem, że znów młody Francuz jest tylko jeden a ich jest dwie . . .

Pod kinem „Świteź" czekał na Krysię zniecierpliwiony konsul. Gdy nie przyszła, a również nie spotkał na naukowym odczycie panny Basi — wrócił wcześniej do swego mieszkania . . . z niewytłumaczonym, a jednak wyraźnym uczuciem ulgi . . .

Napisała Maria Dalborówna

AFORYZMY O MIŁOŚCI

Miłość — to egoizm, uprawiany przez dwie osoby.

Boufflers

To niebezpieczna handlowa spółka, która zawsze kończy się upadłością.

Chamfort

Miłość? — Niewiadomo co. Przychodzi nie wiadomo skąd, — kończy się niewiadomo jak.

m-elle de Scudery

Najsilniejsza ze wszystkich namiętności, gdyż atakuje jednocześnie głowę, serce i ciało.

Voltaire

Miłość jest zajęciem próżniaka, rozrywką dla wojaka, kamieniem na drodze władcy.

Napoleon I

Miłość jest tyranem i nikogo nie oszczędza

Corneille

Z miłością to tak jak z zaraźliwymi chorobami — im bardziej się ich wystrzegasz, tym snadniej padasz ich ofiarą.

Chamfort

Miłość jest poezją zmysłów.

Balzac

Miłość wypełnia dzieje całego życia kobiety, zaś dla mężczyzny jest tylko epizodem w dziejach jego życia.

M-me de Stael

Jest to stan wojenny, trwający w nieskończoność — dlatego zapewne mówi się o miłości zwycięskiej i o klęskach miłosnych.

Necker

Miłość jest czymś, co dodaje mądrości głupcom, a odbiera rozum tym, którzy go mieli za wiele.

X

Miłość najpród uskrzydla, a potem nakłada kajdany.

Smith

Miłość jest pierwszym rozdziałem w wielkiej księdze żażaleń i niewdzięczności.

Sandeau

To przywilej, który pozwala dwojgu ludziom krzywdzić się wzajemnie.

St. Beuve

Wielka namiętność — to przelotny kaprys, który natrafia na przeszkody.

X

Panowanie kobiet w USA

Ciąg dalszy ze str. 6

terenie ruchu pieniężnego, oczywiście w znaczeniu wydatkowania olbrzymich sum drobnymi rączkami kobiecymi . . .

Amerykański kupiec czy przemysłowiec ma w owych „lekkich rękach“ kobiecych niesłychane dochodowe możliwości. A ponieważ rodzajowi niewieściemu właściwa jest próżność, na niej budują swe interesy sprytni odsprzedawcy i wytwórcy wszelkiego autoramentu.

W swej reklamie, często wprost niesmacznie śmiesznej i jakże dla nas naiwnej, zwracają się oni wszyscy do ubóstwianej kobiety, chwaląc ją i wynosząc pod niebiosy, podsuwając jej zachłannej i „uznanej w całym świecie“ piękności to i tamto, bo grosz zaraz posypie się szczodrze, a „uznana“ piękność da się zawsze złapać na miłe słówka pochlebstw.

Żerując na takich typowo kobiecych właściwościach natury, na chęci błyszczenia, podobania się, wzbudzania zazdrości i t. d. i t. d., wpaja się mimowolnie w kobietę przekonanie o jej zgoła wyjątkowym stanowisku w społeczeństwie i świecie, a co za tym idzie, deprawuje się ją psychicznie, bo przeświadczona o swej wielkości nie chce zejść z piedestału, na który raz ją niebacznie wyniesiono.

Chce ona tedy naturalnie wszędzie wszystkiemu nadawać ton, co szczególnie pociąga smutne następstwa na podwórku małżeńskiego współżycia. Bo kobieta amerykańska pojmuje przeważnie małżeństwo jako grę na loterii, na której czemużby nie spróbować wygrać wysokiej sumy?

Rozwiedziona kobieta — zawsze z „winy męża“, szuka nowych emocyj u boku nowej ofiary jej kaprysów, a gdy dokumenty rozwodowe osiągną w krótkim czasie, bo często do lat 3-ch lub nawet wcześniej cyfrę tuzina, wtedy kobieta staje się „szczególnie interesującą“, otoczoną czarem „zrządzeń losu“, godną podziwu i t. p. Naturalnie nie warto nawet o tym wspominać, że taki jeden czy drugi, albo i dziesiąty wyciąg z aktu rozwodowego służy kobiecie lekkomyślnej za płaszczyk, pod którym uprawia flirt w bardzo a bardzo rozpiętych granicach, jako „zniechęcona tylu zawodami do legalnego związku“.

Sądy, jak już rzekliśmy, prawie z reguły stają po stronie kobiety. Bo... proces trzeba płacić, toteż jest intratna dochodowość jurystów, a przegrywający, więc mężczyzna, jako dysponujący kapitałami jest kozłem ofiarnym wyimaginowanych zarzutów kobiecych.

Ba! Nawet w sprawach sądownictwa karnego apoteoza „nadzwyczajności“ kobiecej powoduje niesłychanie łagodne postępowanie dowodowe, i to w procesach o mord!

Mężczyzna „powinien być winnym“, bo kobieta... — jakżeby? Bóstwo, cudowna istota, fenomen areny świata, chodząca nadzwyczajność, wcielenie naj, naj...!

Oto jakiejś kokocie brak „chwilowo“ gotówki...

Wystarczy pomówić kogoś o „usiłowanie szkodzenia dobrej sławie“ kobiety lub „niedwuznaczne odnoszenie się“ do niej, by wyrokiem sędziowskim spłynęła na Bogu ducha winnego, a najczęściej przygodnego „winowajcę“ duża kara pieniężna, wypłacona natychmiast „moralnie poszkodowanej“ siostrze Ewy...

Niechaj też niebiosa strzegą mężczyznę, nieroztropnie zajmującego przedział w wagonie, gdzie siedzi już samotnie podróżująca kobieta...

Ma taki pecha, trafi na aferzystkę, to gdy nie chce wypełnić słodkim głosem żądanego wysokiego czeku, znajdzie się za kratkami na długie czasem miesiące, a nawet lata. Niewiasta błyskawicznie doprowadzi do nieładu garderobę na sobie i zawoławszy przeraźliwie o pomoc wskaże na nieszczęśnika jako na sprawcę „jej hańby“... Choć to stary kawał, kurtuazja sędziowska wobec „bezczelnie napastowanej, samotnej i bezbronnej kobiety“ wyda niezmienny wyrok: winien! I znowu naiwny pasażer grubo płaci gotówką i osobistą wolnością za nierozważne wkroczenie do przedziału, kędy siedziała „najpiękniejsza“, „najbardziej czarująca“ i „godna uwielbienia“ kobieta... Amerykanka!

Nie można się oprzeć wrażeniu, patrząc na to wszystko, że celem amerykańskiej kobiety jest tylko kompletne opanowanie i najzupełniejsze, choćby najpodlejsze wykorzystanie mężczyzny. W jej pojęciu — mężczyzna to tylko półgłówek stworzony i przeznaczony do czołgania się u jej stóp i wypijania zawsze piwa, które ona świadomie, perfidnie, a niby niechcąco nawarzy.

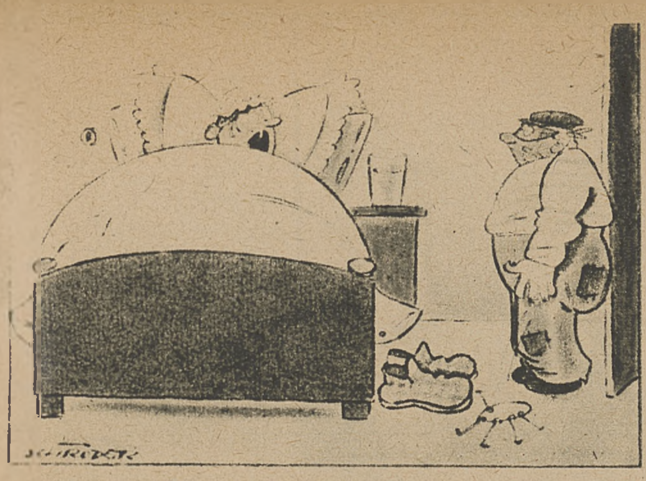
W domu bywa „do wszystkiego“, bo białe służebne są za kosztowne i zbyt wyrafinowane, a czarne, nieapetyczne i już niemodne. Myje, szoruje, czyści, sprząta, gotuje nawet, bo „żona nie ma zdrowia“, „brak jej nerwów“ i „nie może być równocześnie damą i służącą“.

Młodemu dziewczęciu wmawia się już jej ważność i wyjątkowość. Głupstwo, gdy zewnętrzna prezencja pozostaje bez zarzutu! „Bóstwo“ jest wówczas samo przez się u szczytów od razu! Ale, gdy natura poskąpi nieco swych darów — toż dopiero moc złota musi wydać „dama“ na wyrównanie wrodzonych braków! Cały amerykański przemysł i gospodarcza struktura kraju nastawione są właśnie na te „defekty“ kobiet chcących być za wszelka cenę „cudownościami“.

Zaharowany mężczyzna „orze“ od świtu do nocy w dusznym biurze czy kantorze, przeżywa krachy i niepowodzenia, a kobieta wydaje, wydaje i wydaje szeleszczące tysiące dolarów, na nią i dla niej naturalnie przecie zarabianych przez „idiotycznego“ męża.

Radio, prasa, magazyny, kino, kabarety, — aż do obrzydzenia pieją wciąż i wciąż hymny ku czci „piękności“ kobiety amerykańskiej, a całym szczęściem i sensem życia Amerykanki jest „boska figurka“, „smukła nóżka“, „wiotka kibić“ i tam dalej.

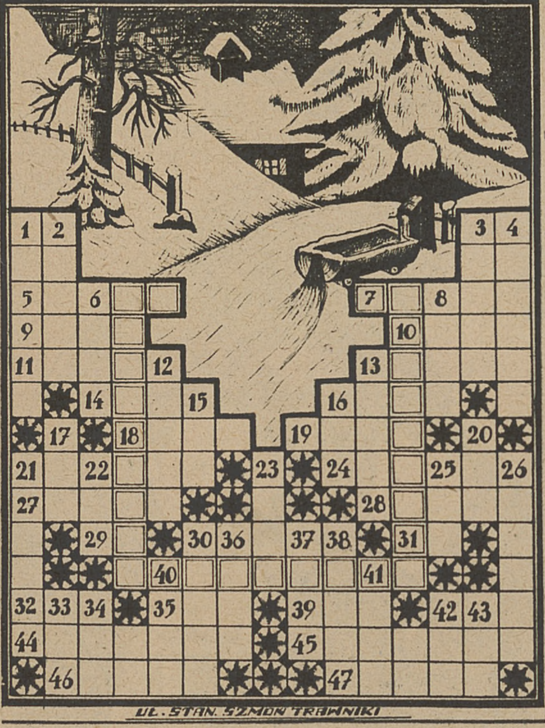
A gdy dnia któregoś albo kobiecie znudzi się taki zakłamany mir dla niej, albo ocknie się nareszcie z tępoty duchowej niewolnik-mężczyzna, wtedy katastrofa gospodarcza Stanów Zjednoczonych musi zadziwić świat, który też przecie szacunek i cześć oddaje kobiecie, ale nie doprowadza jej do groteski czy szaleństwa.



Do cholery! Niech pan przynajmniej kapelusz zdejmie, jeśli chce pan z damą rozmawiać! Hamburger Illustrierte

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA.
ul. St. Szmoń.



W umieszczoną krzyżówkę należy wpisać wyrazy o podanym niżej znaczeniu. Litery w kratkach o podwójnym obramowaniu dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1. nuta 5. instrument muzyczny górali 7. polecenie, rozkaz 9. adwokat, który spowodował upadek żyrondystów lub skaleczenie wspak 10. pali się 11. góra w starym testamencie 13. przyimek 14. rzymski bożek miłości 16. postawa inaczej 18. produkt roślinny 19. niwa, rola uprawna 21. centrum, miejsce środkowe 24. świątyńia buddyjska 27. moneta średniowieczna 28. owad 29. posiada inaczej wspak 30. marynarka robocza 31. egipski bożek słońca 32. okres czasu 35. podarunek ln. 39. jeden z kantonów szwajcarskich 42. „bogu" po łac. wspak 44. miasto w Indiach 45. zwolennik chodzenia nago 46. bogini łowów 47. klasa społeczna.

Pionowo: 1. tkanina jedwabna przetykana złotem 2. obraz świętego u prawosławnych 3. imię męskie wspak 4. kwiat 6. przyrząd do wbijania pali 8. zwierzę domowe 12. środek lokomocji 13. mieszkaniec środkowej Europy 15. okres czasu 16. duchowny prawosławny 17. zabawa 20. utwór poetycki 21. wodny środek lokomocji (s-ś) 22. imię żeńskie zdr. 23. odpadki murarskie 25. „kocham" po łacinie wspak 26. średniowieczne określenie floty morskiej 30. imię żeńskie 33. nazwa wynalazku M. Curie-Skłodowskiej 34. postać z „W pustyni i puszczy" 36. instrument muzyczny lub ptak 37. rzemieślnik 38. urząd biskupi wspak 40 = 37. 41. tytuł opery 42. „wschód" po niem. 43. samogłoska grecka.

SZEŚĆ PŁYT GRAMOFONOWYCH.
ul. Nemo.



W poszczególne części kółek oznaczonych cyframi, wpisać ruchem wskazówki zegara litery wyrazów o niżej podanym znaczeniu. 1. Oko w języku martwym. 2. Warsztat tkacki. 3. Wschodnia tkanina jedwabna, do zawieszania na ścianach i nakrywania stołu. 4. Inaczej powieść. 5. Skrypt dłużny, przyznanie należności na piśmie. 6. Święta księga starożytnych i dzisiejszych Persów.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NR 9.
Krzyżówka:

Poziomo: 1. rytm, 4. rosa, 7. metr, 8. werk, 9. Aspazja (wspak), 10. korsarz, 14. rydz, 15. Zeus, 16. Waal, 17. nora.

Pionowo: 1. rama, 2. tata, 3. mariasz, 5. oset, 6. arka, 8. wawrzyn, 10. krew, 11. róża, 12. zero, 13. usta.

Logogryf:

Wyrazy: 1. Moskwa, 2. ołtarz, 3. Neptun, 4. iloraz, 5. ustawa, 6. statua, 7. zajazd. 8. kimono, 9. oliwka. „Moniuszko".

Państwo Wojciechowie udali się na wystawę obrazów. Przed obrazem przedstawiającym Ledę z łabędziem przystanęła pani Wojciechowa z zainteresowaniem i powiedziała z zazdrością:
— Chciałabym wiedzieć, skąd ta dama wytrzasnęła w dzisiejszych czasach taką tłustą gęś!?

*

Kapitan Henryk, stary wilk morski opowiadał raz w gronie przyjaciół o zatonięciu swego okrętu na południowych morzach Australii.
— Cały nasz okręt zatonął, wszyscy zginęli, nawet szczury nie zdołały się uratować.
— A pan, kapitanie? — zapytał jeden z młodocianych słuchaczy.
— Ja, oczywiście także.
— Ależ . . . ależ . . . pan przecież siedzi tu razem z nami.
— No, tak, mój kochany, a czy nie wiesz o tym, że są rzeczy na ziemi i niebie, o których się nie śniło nawet filozofom.

*

Chcąc zabawić całe towarzystwo daje pan Zygmunt następującą zagadkę:
— Co to jest, rośnie korzeniem do góry, a koroną na dół?
Gdy nikt z obecnych nie mógł trudnej zagadki odgadnąć, sam pan Zygmunt musiał podać rozwiązanie:
— To całkiem proste, jest to bowiem ząb w górnej szczęce.



Na lewo:

— Czy zastałem pana adwokata?

— Chwilowo mego ojca nie ma w domu, ale mnie może pan również z całym zaufaniem powiedzieć, o co się rozchodzi. Jestem już pięć lat tutaj.

Die Grune Post

TEMPORA MUTANTUR...

Dawniej było inaczej — czyli tedy to znaczy,
Że coś nie tak szło w czasy minione...
Więc wspominać nam wolno, przeszłość owa „swawolna"
I godziny wybite, prześnione...

Ongiś kwitła surowość wszelkich zasad, a nowość
Miała każda sto przeszkód przed sobą!
A dziś? Szast, prast, zrobione! Bez sprzeciwu wniesione,
Nowość wszak jest postępu ozdobą!...

Dzisiaj zasad swoboda, (taka wszędzie jest moda),
Dawniej panna z mamusią chodziła...
Grać musiała i śpiewać, długie suknie przywdziewać,
Twarz jej ciągle się ponsem barwiła...

Gdy zbliżało się szczęście, upragnione zamęście,
Pouczano ją — co to m ę ż c z y z n a.
Dziś nie trzeba już tego, — dla dziewczęcia hożego
Ni to nowość — ni żadna pierwszyzna...

Piękne damy mdlejące, francuszczyzna mówiące,
Jakże różne od naszych pań były...
Dziś się dzieci nie chucha — samo chowa się jucha!
Dawniej damy „sznurówki" nosiły...

Wdziała takie chomąto, na godzinę zaś piątą
Była... całkiem nareszcie ubrana!
Jeszcze żabot przypięła, parasolkę też wzięła,
Szła — jak osa „bryklami" ściskana...

Dzisiaj — buzia rumiana, chyra wiatrem rozwiana,
Kształt dziewczęcy sukienka okrywa
Lekka, zwinna, swobodna, i kobieca i modna,
Choć to babcia z g o r s z e n i e m nazywa!

Ongiś — młodzian nadobny, w tach rycerski zasobny,
Gromił Turki i siekał Tatary...
Dla swej lubej bogdanki w turniejowe szedł szranki,
Do największej był zdolen ofiary.

Pod oknami jej wzdychał i z miłości usychał,
Gotów ślady jej stópek całować,
Dziś — młodzieniec, pstro w głowie: W tydzień z panną po słowie...
„A czy pani się umie boksować?"

Dawniej, górą — doliną, dźwięki trąbki w dal płyną...
To dyliżans przejeżdżał pocztowy.
Woził ludzi milami, hen, daleko, światami,
Każdy wracał i cały i zdrowy.

Zaprzęgałeś konika, turkotała ci bryka
I jechałeś z wizytą w sąsiady...
Zabawiłeś, popiłeś, na noc do dom wróciłeś,
Chociaż nieco... „zawiany", — lecz rady!

Teraz moda jest — autem! Więc wybierasz się gwałtem
Kilometrów w godzinie coś dwieście,
Masz w kieszeni testament, we łbie wicher i zamęt,
No i... flaki na wierzbie nareszcie!

Gdy chowałeś już psiaka, to nie była pokraka,
Która wlokła swe wszystko po ziemi...
Obchodzili dom ludzie, gdy pies warknął przy budzie.
Ma ktoś stracha przed psami naszymi?

Pysk kanciasty, kłak długi, nawet szczekać nie lubi,
Noś na ręku „rasową" poczwarę,
Skarć go za co, zobaczysz! Żreć przestanie z rozpaczy
I w tygodniu ci zdechnie za karę!

Miałeś ongiś teściową, dopiekałeś jej zdrowo.
Przymrużyła na wszystko powiekę...
Spróbuj dzisiaj nieboże! Żona twa jej pomoże,
Zrobią z ciebie na zawsze kalekę!

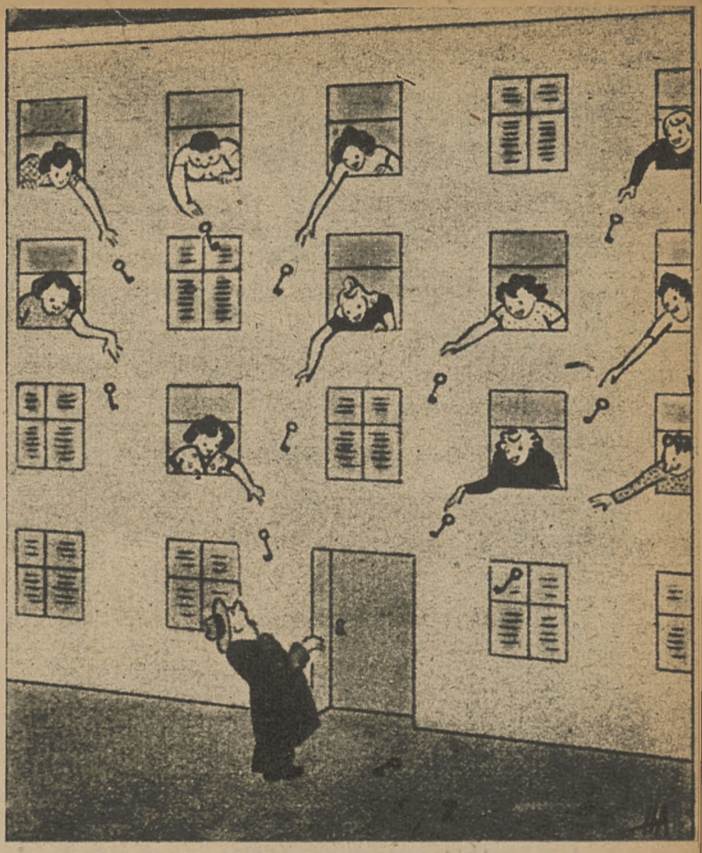
Chorowałeś przypadkiem, były sprawy to rzadkie,
Jakaś dżuma, malaria, cholera,
Wyleczyli ziołami... Dziś masz osiem z kreskami,
Już familia na stypę się zbiera!

But, cholewą nazwany, stroił ciury i pany
Wykonaniem się różniąc jedynie.
Białogłowa cna przecie za nic nigdy na świecie
Nie zniosłaby go nawet w godzinie...

Dziś wiatr inny powiewa: wszystkie chodzą w cholewach,
I kształt bioder wsadziły w portasy,
Męski „Hückel" na głowie, — aż przebiega cię mrowie
Co za jakieś okropne są czasy...

Szkoda gadać w ogóle! Wszystko w każdym szczególe
Jest inaczej, ha! Świat się wciąż zmienia,
Dzień przemija i gaśnie, nowe wstają znów jaśniej,
A po wczoraj — nie staje ni cienia.

Stefan Krasiński



Hallo! Mój skarbie! Rzuć mi klucz od bramy... Das Illustrierte Blatt

Dwóch znajomych spotyka się.
— Dokąd tak spieszysz? — mówi jeden z nich.
— Na wesele Figara.
— No, masz szczęście. Jakaż to rzadka okazja być gratis na przyjęciu w dzisiejszych czasach.

*

— Twój narzeczony jest strasznie małomówny.
— Ach, główna rzecz, że zawsze mówi „tak".

*

Żona: — Nasza sąsiadka jest jednak komiczną osobą. Cały dzień nic nie robi tylko plotkuje.
Mąż: — A z kimże ona tyle plotkuje?
Żona: — No, ze mną naturalnie.

*

Młoda żonka podaje małżonkowi talerz zupy.
Po chwili mąż mówi:
— Czy nie mógłbym cię prosić o trochę wody?
— Masz pragnienie? — pyta ze współczuciem małżonka.
— To nie, ale muszę przepłukać usta, aby się pozbyć smaku.

*

— Pani musi zażywać żelazo — mówi lekarz.
— Ach, panie doktorze, — woła zmartwiona pacjentka — ja mam takie słabe zęby, że z trudem chleb gryzę.

*

Dwaj szefowie rozmawiają o swoich urzędnikach:
— Tak, tak, stary Ignacy posiwiał w mojej służbie.
— Phi! Ja miałem urzędniczkę, która w mojej służbie była kolejno blondynką, brunetką i rudą.

*

Nauczyciel pisze Ewie w zeszycie: „Ewa gada całą godzinę" i każe to pokazać ojcu.
Na drugi dzień czyta w zeszycie Ewy: „Powinien pan usłyszeć raz jej matkę".

*

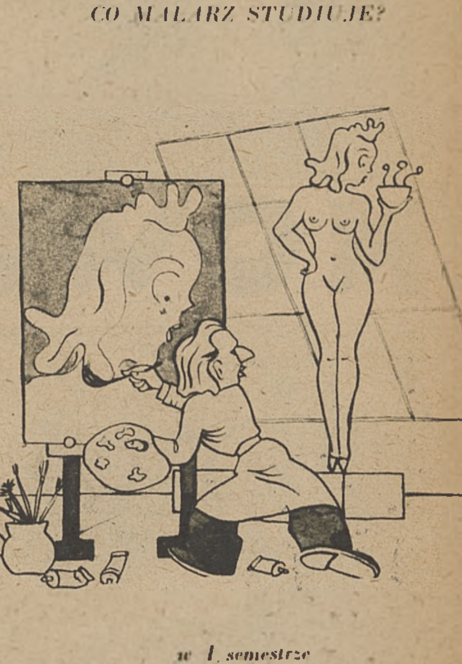
Józef spotyka Henryka. Henryk jest rozpromieniony.
— Cóż cię tak ucieszyło? — zapytuje.
— Jak to! Nie wiesz? Moja żona powiła syna.
— Ach, tak!!! Winszuję! A któż jest ojcem?
— No, wiesz Józek, to już bezczelność. Takie pytanie zasługuje na . . .
— Nie gniewaj się, Henryś — przerywa mu Józef — ja nie miałem najmniejszego zamiaru cię dotknąć. Spytałem sądząc, że wiesz.

*

Młoda para wchodzi do ogródka restauracji. Kelner podbiega pytając:
— Czym mogę służyć? Mogę polecić pstrągi, jeśli pan jest miłośnikiem . . .
— Nie jestem żadnym miłośnikiem. Jestem małżonkiem. Ta pani jest moją żoną!

KĄCIK KARYKATURZYSTY

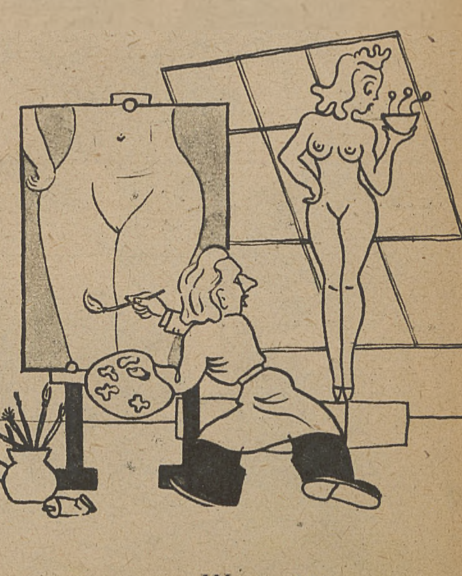
CO MALARZ STUDIUJE?



w I. semestrze



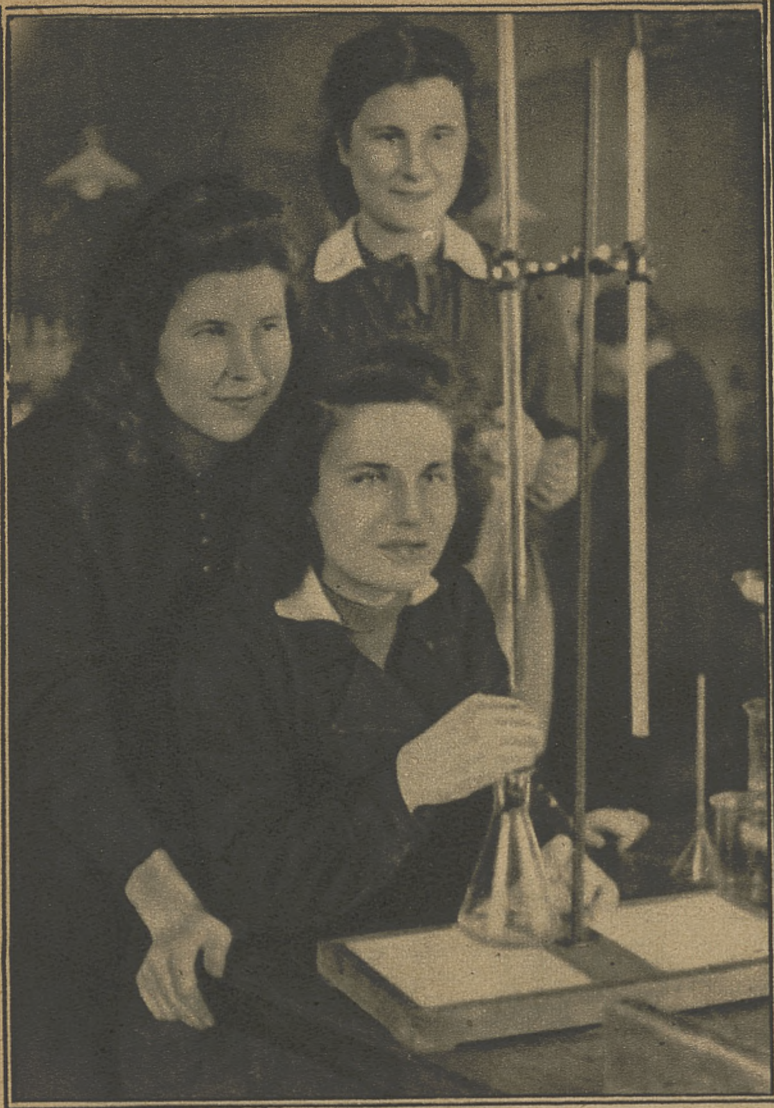
w II. semestrze



w III. semestrze

Rys. J. Warszeszkiewicz — Krak[ów]

NOWOCZEŚNI ALCHEMICY





Nowoczesna chemia rozwinęła się ze średniowiecznej alchemii, lecz dziś już nie jest polem fantastycznych spekulacyj, ale terenem ścisłych badań naukowych, których wyniki wykorzystujemy w życiu codziennym — w technice — w przemyśle — w medycynie i innych dziedzinach.

Powyżej: Oprócz praktycznych ćwiczeń, profesorzy wykładają również teorię chemii.



Na lewo: Nauczyciele i asystenci czuwają nad pracami uczniów.



Fot.: Borek

W specjalnych szkołach fachowych, także i w GG. — jak np. w Państwowej Szkole Chemii Technicznej w Krakowie, z której podajemy kilka zdjęć w naszym numerze, — kształci się starannie przyszłych chemików. — Na obu naszych zdjęciach zamieszczonych powyżej widzimy uczennice przy ćwiczeniach praktycznych. Menzurką odmierzają one najdokładniej skład ilościowy roztworów. Substancje wchodzące w skład tych roztworów odważyły już przedtem na czułej wadze analitycznej.





Powyżej: Uważnie obserwuje studentka procesy odbywające się w kolbce destylacyjnej. Przez ogrzewanie nad palnikiem gazowym odparowuje zwolna jeden ze składników. Pozostałe w kolbce substancje reagują z sobą wytwarzając nowy związek chemiczny.

Na lewo: W sali wykładowej zaznajamiają się studenci z teoretycznymi podstawami chemii.